

Sarmackie zmagania z Bachusem

Historia pijaństwa polskiego

Czasy staropolskie słyną z kultury bachicznej. Szczególnie w sferach zamożnej szlachty pito dużo i pod każdym nadarzącym się pretekstem, postrzegając samo "wychylenie" kielicha za przyjemną rozrywkę. Po trunki sięgano z okazji chrzcin, imienin, odwiedzin, ślubów, pogrzebów, świąt... Żadna biesiada nie mogła odbyć się bez udziału pełnych pucharów, toastów i bardziej lub mniej umiarkowanej pijatyki.

ANNA PACHOCKA

Co pijano? Na co dzień pragnienie gaszono najczęściej piwem, spożywanym nie tylko przez dorosłych, ale i przez dzieci. Początkowo był to trunek niskoprocentowy zawierający od 2% do 3% alkoholu. Później, po przyjęciu od Niemców receptur z użyciem słodu i chmielu, nauczono się warzyć piwo zbliżone do dzisiejszego. Używano go zresztą nie tylko w formie napoju, ale też sporządzano z niego wielce wtedy popularne polewki piwne (piwo gotowane z dodatkiem przypraw i zabielałe śmietaną) zwykle serwowane we dworach na śniadanie. Wody właściwie nie pijano, gdyż uznawano ją za źródło chorób.

Drugim święcącym wówczas tryumfy trunkiem był miód pitny przyprawiany ziołami lub korzeniami (nazwą tą określano wszelkie sprowadzane przyprawy). Do połowy XVII wieku stanowił on jeden z podstawowych napojów alkoholowych. Szczególnym uznaniem cieszył się tak zwany lipiec, uchodzący za rarytas jeszcze pod koniec XVIII wieku i osiągający bardzo wysoką cenę. Z miodu połączonego z owocami wiśni, malin czy derenia wytwarzano tak zwane wiśniaki, maliniaki i dereniaki.

Za "pański" napój uchodziło wino - znane na ziemiach polskich już od X-XI stulecia. Jego popularność zaczęła wzrastać od wieku XVI. Uznawane za trunek "zbytkowy" pojawiało się początkowo u bardzo zamożnych ludzi i to podczas specjalnych okazji. Dopiero XVIII wiek przyniósł znaczne zwiększenie jego spożycia rozpowszechniając je wśród całej szlachty. Gustowano zwłaszcza w węgierskim tokaju zwanym "królem win i winem królów". Rozmiłowani w nim bogacze wysyłali na Węgry swoich przedstawicieli, którzy wykupywali nieraz całe roczniki rzeczonoego trunku, czasem jeszcze przed zakończeniem

winobrania. Ceniono również niemieckie riezlingi. Wina francuskie zostały docenione dopiero w XIX wieku. Wcześniej poczęstowawszy gościa nawet najlepszym bordo można się było spotkać z przyganą w guście: "Mości dobrodzieju ja do szabli nie do szpady stworzony".

Nie gardzono również wódką. Była ona słabsza od dzisiejszej – zawartość alkoholu w okowicie (spirytusie) wynosiła około 70%, w prostej wódce do 35%, a w tak zwanej "prostce" – 15-20%. Na bazie prostej wódki wyrabiano domowymi sposobami różnorakie nalewki zaprawiane ziołami, korzeniami, owocami. W ten sposób powstawały słynne orzechówki, kminkówki, anyżówki – niezastąpione wyposażenie domowych apteczek (zamykana szafka, w której przechowywano drogie przysmaki takie jak rodzynki, korzenie, migdały, kawę i napitki). W apteczkach bogatych dworów można było znaleźć też wódkę gdańską, czyli mocną anyżówkę doprawioną cienkimi blaszkami prawdziwego złota. Z tego bogatego asortymentu dla własnych potrzeb wybierano nierzadko prostą gorzałkę. Zauważali to bywający u nas cudzoziemcy. Fryzyjczyk Ulryk Werdum notował w drugiej połowie XVII wieku: "Polacy bardzo lubią wódkę którą po polsku zwaą gorzałka (...). Nawet najarystokratyczniejsi Polacy wożą ją z sobą w swych puzderkach i muszą się jej napić prawie co godziny". Prostej gorzałki nie należało jednak podawać na żadnych spotkaniach towarzyskich.

Przeciętny szlachcic, jak oceniają historycy, wypijał rocznie około 20 litrów wódki, 700 litrów piwa i znaczne ilości win i miodów. Nie dziwi więc spostrzeżenie lekarza niemieckiego Johanna Josepha Kauscha piszącego w XVIII wieku: "pijaństwo robi w Polsce niesłychaną renomę (...) nektar węgierski pozostaje nadal najważniejszą narodową namiętnością. Trudno sobie wyobrazić ile kwart [kwarta to około litr – przyp. A.P.] wina Polacy potrafią wypić: dziesięć, dwanaście i więcej kwart wypijają niektórzy jednego popołudnia. Nie uważa się tutaj za nieprzyzwoitość upić się do nieprzytomności." Faktem jest, że nadużywanie alkoholu było w okresie staropolskim, a szczególnie w czasach saskich, społecznie aprobowane. Jak zaznacza znany badacz kultury staropolskiej Zbigniew Kuchowicz - abstynentów wówczas nie spotykano. Na co dzień nie nadużywano alkoholu, choć nie można powiedzieć, by go unikano. Poranek rozpoczynano często polewką piwną, co więcej, poprzedzaną niejednokrotnie kieliszkiem wódki. Przed obiadem lubiano zajrzeć do "apteczki" na kieliszek nalewki wzmacniającej apetyt i dobre samopoczucie. Do obiadu pito piwo, a i przed snem nie gardzono szklaneczką krupniku (rodzaj alkoholu) czy innego trunku.

Prawdziwe pijaństwo zaczynało się jednak wraz z wkroczeniem w próg domu gości. "Zwłaszcza przy stole Polak lubi popisać się swoim bogactwem i korzystać z niego – pisał w drugiej połowie XVIII wieku ksiądz Hubert Vautrin dodając - głównie jednak wykwinł stołu zasadza się na trunkach, które też przede wszystkim pociągają biesiadników".

Oficjalne bankiety odbywały się jeszcze według sztywno określonych reguł. Na początku do picia podawano słabsze wina bądź piwo. Dzbany z węgryzmem pojawiały się na stołach dopiero w połowie spotkania lub po zaserwowaniu drugiego dania, w chwili gdy gospodarz rozpoczynał picie toastów. Wychylony przez niego kielich (kielichy toastowe mieściły w sobie 0,5l i więcej wina) przechodził następnie z rąk do rąk. Wypadało wypić zdrowie każdego z gości rozpoczynając od najdostojniejszych. W przypadku liczniejszych zgromadzeń ograniczano się do uhonorowania kielichem najznamienitszych kompanów, innych ucztujących wymieniając w toastach grupowych. Przytaczany wcześniej Vautrin notuje: "Piją wszyscy ze wspólnego pucharu, zmienianego po każdym toaście. Za ledwie puchar, który nie omija nikogo, został opróżniony, ukazuje się następny, w którym zmoczyło się już z dziesięć par wąsów. Należy go napełnić i wypić stojąc, by nie urazić gospodarza albo osoby, której zdrowie się spełnia, a która również przyjmuje toast na stojąco. W ten sposób trzeba kolejno wstawać, siadać, wstawać, siadać i znów wstawać i siadać aż do samego końca uczyty." W pozycji siedzącej pozostać mogli jedynie ludzie chorzy lub wiekowi. Odmówienie wypicia kielicha przez cały omawiany okres uchodziło za grubiaństwo.

Od połowy XVII wieku nasiliła się tendencja organizowania znacznie hałaśliwszych, wręcz awanturniczych imprez, na których przymuszanie do picia było egzekwowane ze szczególną żarliwością. Podany kielich należało wychylić do dna, w innym przypadku był ponownie uzupełniany. Barwnie przedstawia taką sytuację Jędrzej Kitowicz w książce *Opis obyczajów za panowania Augusta III*: "U niektórych panów lokaje, hajducy (...) mieli rozkaz raz na zawsze podczas uczyty pilnować, kto nie wypił, aby mu dolano; na ten koniec służebni domowi jedni się porozsadzali z flaszami dokoła stołu, drudzy z tymi pod stół powłazili. Jeżeli nie wypijający kielicha swego, broniąc się od dolewki sąsiada, wyniósł go w górę albo za siebie uchylił, pacholek na to czatujący sprawnie mu go dolał; jeżeli skrył go pod stół, to samo zrobił mu siedzący pod stołem służka. I tak ów niedołęzny pijak, który nie mógł duszkiem wygarnąć kielicha, kręcił się jak wąż tam i sam, w górę i na dół z kielichem, a wszędzie mu go dolewano, aż póki do dna trunku przybywającego nie wymęczył (...)." Trudno się też było wymknąć z takiego spotkania niepostrzeżenie – i tu uciekinierów ścigali służby gospodarza przyjęcia. Ten powiadomiony przybywał z resztą gości, by wypić z odchodzącym strzemiennego. A że należało wypić kielich w podzięcie gospodarzowi, gospodyni, znakomitej kompani... pijaństwo zaczynało się na nowo "i jeżeli przez cały czas uczyty nie zwałił się z nóg, to na pożegnaniu został bez zmysłów" - dodaje Kitowicz. Nie poprzestawano zresztą jedynie na wypijaniu kolejnych toastów.

Podochocone towarzystwo przystępowało często do zabaw – naturalnie z udziałem trunków. Jedną z nich polegała na wypiciu wybranej

szklanicy za trzema pociągnięciami. Po pierwszym hańście należało pogłaskać się raz jednym palcem po jednym wąsie, po czym po drugim, tymże palcem przeciągnąć od nosa do brody i z powrotem, dalej uderzyć nim w stół z wierzchu raz, od spodu raz, tupnąć w podłogę raz i wymówić pierwsze słowo: "piwo". Za drugim łykiem liczbę gestów należało podwoić a na koniec wypowiedzieć słowo: "dobre". Za trzecim, po wykonaniu potrójnej liczby gestów, oddając szklanicę, dodawano: "nalej". Jeśli pomyłono się w którymkolwiek momencie rozpoczynano wszystko od początku dopełniając rzeczony naczynie. Do zabaw używano również różnorakich, specjalnie wykonanych kielichów, których zawartość można było wypić jedynie w określony sposób (np. przechylając się mocno do tyłu). Były i takie których w ogóle nie dało się opróżnić w całości (ryc.2). Inne, zwane "kulawkami" nie posiadały stopy, stąd musiały być ciągle w ruchu (ryc.3). Pito również z trzewików panieńskich (bezpośrednio lub, w mniej drastycznej wersji, ze wstawionych do nich kieliszków), a nawet z butów dygnitarskich. Nadużywanie trunków kończyło się dla niektórych tragicznie. Wielu "chorowało" już podczas trwania uczyty. Nikogo to, o dziwo, nie gorszyło – "chorujący" człowiek odchodził od stołu, by oporządzić swe ubranie, po czym, jeśli tylko był w stanie, wracał do towarzystwa. Co gorsze, podchmieleni biesiadnicy wzniesiali często burdy pijackie. Porywczość Polaków była powszechnie znana. Obrażony szlachcic bez wahania sięgał po broń. Dobrze jeśli kończyło się tylko na pojedynku panów – gorzej gdy włączali się do niego służba i towarzysze. Wtedy można było zastać scenę odmalowaną w XVII wieku przez Wacława Potockiego:

"Po wczorajszym bankiecie wynidę z pokoju,
Aż w izbie pełno krwie, szkła, obu końców gnoju;
Temu księdza, owemu balwierza prowadzą,
Ci jedną, a drudzy dopiero się wadzą,
Ten okradziony biada bez czapki, bez szable,
Ten się potłukł, ten bluże (...)"

Co znamienne takie zakończenie spotkania nie było odbierane jako niewłaściwe, więcej, stawało się tematem anegdot i śmiechu. Nie aprobowano natomiast wypuszczenia gości w stanie trzeźwym. Gospodarz który się takiego czynu dopuścił tracił reputację i poważanie w towarzystwie, uznawano go za skąpca. Kitowicz we wspomnianej książce pisał: "To było największym zamiarem owego traktamentu i ukontentowaniem gospodarza, kiedy słyszał nazajutrz od służących, jako żaden z gości trzeźwo nie odszedł, jako jeden, potoczywszy się, wszystkie schody tocząc się kłębem przemierzył; jako drugiego zniesiono do stancji jak nieżywego; jak ów zbił sobie róg głowy o ścianę; jak tamci dwaj, skłóciwszy się pyski sobie powycinali; jako nareszcie ten jegomość, chybiwszy krokiem, upadł w błoto, a do tego ząb sobie o kamień wybił." Zaiste interesujące poczucie gościnności.

Charakterystycznym obrazem tamtych czasów były też pijatyki sejmikowe. Zjeżdżając na nie szlachtę pojono dużymi ilościami alkoholu. Mocno podchmieleni obywatele byli łatwiejsi do przekonania o słuszności koncepcji reprezentowanej przez możnego sponsora całej pijatyki. Większość obecnych po wstępnym ugoszczeniu i dokonaniu obowiązków sejmikowych, spijała się do nieprzytomności, zasypiając następnie gdzie popadło, jak podaje Kitowicz "gdzie kogo nogi taczające się zaniósły i powaliły". Często po przebudzeniu okazywało się, że zmitygowany sejmikowicz nie posiada już pełnego przydzwiewku, czy innych dóbr. Straty wynagradzano mu jednak tylko w przypadku, gdy wygrało stronnictwo jego możnego dobrodzieja.

W dobie saskiej pijaństwo było już mocno ugruntowane w obyczajowości szlacheckiej. Kult "mocnej głowy" stał się tak powszechny, iż mężczyźni przewyższających innych umiejętnością pochłaniania ogromnych ilości trunków zaczęto traktować jak bohaterów. Do takich niezrównanych opojów należał Adam Małachowski, krajczy koronny, którego Kitowicz nazywa "zabójcą ludzkiego zdrowia". Miał on szczególny zwyczaj witania każdego pierwszy raz odwiedzającego go gościa kielichem wina. I nic by może w tym nie było szczególnego, gdyby nie to, że kielich ów mieścił w sobie pół garnca napoju (tj. około 2l) – a trzeba go było wypić duszkiem. Jeśli się to komu nie udało – kielich dopełniano, i tak aż do skutku, lub całkowitego upicia delikwenta. Sam Małachowski używał owego "cacka" z przyjemnością podczas bankietów i wotów, i mniemał, że niewielu jest ludzi na świecie, którzy mogliby mu dorównać w pijaństwie.

Prawdziwym oryginałem był Borejko, kasztelan zawichoski, gustujący w pijatykach z duchownymi. Zamykał się z takim towarzystwem na 3 do 5 dni w osobnych pokojach, odpowiednio je wcześniej wyposażony, i urządzał swojego rodzaju "klasztór". Nie zaniedbując żadnych modlitw ni mszy braciszkiwie wraz z rzeczonym pobożniem opróżniali przygotowane zapasy.

W ziemi lubelskiej słynny był Konrad Badowski piastujący urząd pisarza ziemskiego. Kiedy podczas uczt już dobrze napity miał trudności z koordynacją ruchów stawał pod ścianą i liczył na pomoc współbiesiadników. Ci, znając jego zwyczaje, podchodzili do niego i wlewali mu wprost do ust kolejne toasty. W takim położeniu ów dzielny szlachcic był w stanie przetrzymać całe towarzystwo.

Nie wszyscy w państwie polskim byli opojami. Niemal wszyscy jednak przez długie stulecia ulegali modzie na upijanie się podczas uczt. Pijaństwo niosło ze sobą wiele "guzów i plastrów" co zauważał już Jan Kochanowski. Prowadziło do zwad, bijatyk, utraty pieniędzy i zdrowia (można było wrócić z biesiady bez nosa lub ucha, o czym donoszą nam

pamiętnikarze). Przysparzało prymitywnej zabawy, ale i kłopotów – łatwo było przy ograniczonej świadomości umysłu zdradzić jakiś sekret. Przestrzegali przed nim moralisci i pisarze. Dopóki jednak aprobowali je najważniejsi ludzie w kraju – król, magnaci – trwało w rozkwicie. Przełomem stało się dopiero panowanie Stanisława Augusta Poniatowskiego, który pijaństwem się brzydził. Postawa władcy i jego najbliższej rodziny wpływała na społeczeństwo. Warstwy wyższe odchodziły stopniowo od tak rażących cudzoziemców obyczajów w zakresie nadużywania trunków. Przewartościowaniu ulegał model gościnności. Wkrótce państwo polskie miało zniknąć z map i trzeba było mieć doprawdy "trzeźwą" głowę, by nie zatracić istoty polskości, kiedy samo państwo już zatracono.

Anna Pachocka